



GDY NIE MA NADZIEI, WRÓĆ

DO ZAPOMNIANYCH BOGÓW

MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOS

TRUPOKUPCY

SON
Originals

TRUPOKUPCY



Wyjątkowe książki
Wyjątkowe wydania
SQN Store
www.sqnstore.pl

MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOŚ

TRUPOKUPCY

KRAKÓW 2020

Trupokupcy

Copyright © by Magdalena Świerczek-Gryboś 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Ewa Białołęcka

Korekta – Bożena Sęk

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik

Grafika na okładce – suricoma, Sergey Kandakov / 123rf.com

Asteryski i ilustracje – Marek Gryboś

Obraz *W oczekiwaniu na powrót z morza* – Marek Świerczek

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788381298247



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka, Szymon Gagatęk, Tomasz Czernich

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Pluska, Honorata Nicporń, Ewa Koza

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

www.wsqn.pl

www.sqncore.pl

www.labetiga.pl

Przedmowa

Historię tę opowiedziały mi drzewa Czarnego Lasu, pijące ciemność z ziemi i pnące się dzięki niej ku światłu.

Opowiedziało mi ją hołubiące rozkład poszycie lasu, w którym można poczuć wezwanie ziemi, zanurzony w nim stopy bądź dłonie.

Opowiedziały mi ją łąki wydeptane przez sarny, pola zryte przez dziki, te, na które jeszcze nie wcisnęły się domy, parkingi dla tirów i latarnie; moczary nocami przeszywane wrzaskami dzikich lokatorów, napęczniałe od tajemniczych rytuałów tego, co pod osłoną mroku wychodzi z lasu.

Opowiedziało mi ją ciemne niebo, niezanieczyszczone jeszcze łuną miasta, i ślad Drogi Mlecznej: obietnica niepoznawalnych światów, przestroga przed iluzją wielkości.

Opowiedziały mi ją szkielety młodych saren dopadniętych przez lisy, kości porywane przez psy, zęby dzików znajdowane przy okazji grzybobrania, ptaki i myszy upolowane przez koty, pozostawiane wnętrzności, pióra i wiewiórcze ogony.

Opowiedziało mi ją to, czego głos zawsze będzie obecny, a usłyszeć go pozwoli pokora wobec klęski. Próżno szukać tu głosu miejskich molochów, przemysłu, pstrokatej reklamy i niezachwianej wiary. Niech przemówią rzucone apokalipsie na żer wsie i dzikie ostępy; i niech opowiedzą, jak człowiek otrzymuje to, co mu się należy, w nieustannej spokojnej rzezi kładącej kres jednym formom na poczet nowych. W nieskończonym eksperymencie. Niech przyjdą na nowo mity całkowicie niepojęte, bo nieustannie źle opowiadane: po człowieczemu i dla ludzi, zgubnie izolując ich, znaczących dokładnie tyle samo co opadające liście, od macierzy i przeznaczenia. Ciemnej głębi niepojętego.

Tak wygląda koniec każdego, w tym i mojego świata. Jednego z tych malejących wobec świadomości, że są krótkotrwałym wrażeniem, wynurzeniem głowy z mroku, bo padło na jego powierzchnię światło. Małe końce światów to te, które można jeszcze ignorować, ale czuć, że nadejdzie ich Król; jest to pewne i prawdopodobnie z całych sił witalnych wszyscy odpychamy od siebie tę wiedzę, wybierając z zimnej ziemi czarne nasiona i paląc je w ogniu kojących namiętności. Grzejąc się w świetle gwiazdy, zbudowani z prochów innej, sami w ciemnym morzu

niezbadanego. Zbuntowani, uśmiechnięci, kpiący; wewnątrz zrozpaczeni i zagniewani, cwani i spokojni na zewnątrz; karmieni największym kłamstwem najsmutniejszej z istot, bo nazbyt samoświadomej: że to my jesteśmy monarchami czegokolwiek.

Po co więc opowiadać cokolwiek innego niż pocieszenie?

Należałoby zapytać tego, co każe mi opowiadać.

Ale żeby zapytać, trzeba dać zgodę na to, że Król istnieje. Że w ciemności, której tak wielu się boi, udaje, że jej nie ma, i w którą wszyscy zmierzamy, jest coś, czego nigdy nie pojmiemy. Prawdopodobnie przekłamujemy to, ubierając w kreacje, w boskie emanacje. I tak niepojęte, zawsze zwycięskie, zawsze głodne i wyczekujące naszego powrotu, dzierży nad nami władzę.

Mój ojczcie, mój ojczcie, ach patrzaj, gdzie ciemno!

Król Olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną.

23.11.2019

SPALIĆ WIEDZMĘ,
NAPOIĆ DZIADĄ



*Panie dzieju, ja to już niejednych takich przeżyłam.
Panie dzieju, niejedno widziałam, gdy się tak tu
kręciłam...*

Muzykę puszczono na cały regulator, lecz podwórze stanowiło wielką, na wpół martwą połąć resztek ogrodowego dobrobytu, a dźwięki zdawały się wchłaniane w suchą glebę i stare konary. Tuż przy płocie dziewczyna zrywała z krzewu nieliczne pomarszczone owoce, tak suche, że nawet nie brudziły rąk. Nie była w stanie przypomnieć sobie ich nazwy, miała jedynie mglisty obraz przed oczami: swoje dziecięce, fioletowe od soku palce. Usłyszała w głowie głos babci: „Pola, oszklivy bachorze, jak bydziesz takõ łakoma, przyszłość odpłaci ci głodem”.

Wspomnienie przeszło donośnie:

– Przepraszam!

Sąsiadka wyglądała nieznośnie. Dziewczyna aż zazgrzytała zębami, gdy zwróciła na nią spojrzenie. Wciąż żywy w głowie głos przypominał jej, że babcia mawiała o takich kokoty albo wycieruchy.

– Może czas się w końcu poznać?

Pola przywołała na twarz swój najmniej wiarygodny uśmiech, zarezerwowany dla blagierów i nartarzywych pacanów.

– Może.

– Jestem Magda. – Kokota wskazała za siebie, na straszdyło, które jakiś czas temu przesłoniło widok na łąki i bagno. – To mój dom.

– Wiem.

Szary wilczur podbiegł do nich, zamerdzał ogonem i polizał rękę wetkniętą między deski płotu. Dziewczyna z pewnym trudem powstrzymała się, by nie warknąć „bierz ją”. Podobnie jak pies, sąsiadka nic sobie nie robiła z jej niechęci.

– Co tu się stało?

Wskazała na las po drugiej stronie kamienistej drogi, przy której stały ich domy. Szeroki pas ściętych pni, ciągnący się w każdą stronę wzdłuż drogi, sprawiał wrażenie, jakby ogromny żniwiarz zamachnął się na las, zadrasnął go i zrezygnował.

– Miała być droga. Dwa pasy. Ścieżka rowerowa. Burmistrz chciał przed wyborami.

– Przed wyborami. – Kobieta pokiwała głową. Z szyi zwisał jej duży łapacz snów ozdobiony czarnymi piórami. Przyciągał wzrok. – Przed tym wszystkim. Szkoda, że zdążyli wyciąć drzewa.

– Chechli tysiąc drzew, aż do kolejnej wsi. – Pola poczuła, że twarz jej tężeje. Wspomnienie wycinki nadal sprawiało ból. – Drzewa są mądre. Pochylały się nad podwórką i dawały cień. Nie umieliśmy ich obronić. Teraz nie ma ani drogi, ani cienia, ino bajzel.

Nie rozumiała, dlaczego tyle gada. Splotła ręce na piersiach i zamilkła, patrząc na ciemną ścianę lasu.

Arktyka i Antarktyka, Arktyka i Antarktyka...

– Właściwie to dobrze – stwierdziła sąsiadka. – Tu wszędzie bagno. Wyschnie, drzewa się przewrócą... widzę, że już się przewracają... ale nie na wasz dom.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ale ta wycinka była lata temu – paplała dalej wycierucha. – Nic tu nie wyrosło. Pniaki nadal wyglądają jak świeżo po wycince. Wiecie czemu?

– Nie wiemy.

Kobieta podrapała się po odsłoniętym udzie, które lśniło od jakiejś mazi. Pola znów zazgrzytała zębami. Miała jeszcze kosmetyki?

– Myślę, że to dlatego, żeście nie chcieli drogi – oznajmiła kokota.

– Sąsiadów też żeśmy nie chcieli. To już nie są czasy, żeby się wynosić z miasta na wieś.

Sąsiadka się uśmiechnęła, założyła ciemne okulary o szklach grubych jak denka butelek. Zerknęła na bielejące wczesnoporanne niebo. Chwilowa radość spelzła jej z twarzy. Poprawiła słomkowy kapelusz na głowie.

– Nie jestem obca. Mam tu korzenie. Jak drzewa.

Dziewczyna parsknęła. Wielkomiejska będzie jej tu mówić o drzewach. Ocipiała.

– Ja wiem, coś ty jest. Wrazidlok. A twój dom jest z drewna – zauważyła oschle. – To jakby zbudować chałupę z trupów.

Kobieta zdjęła okulary i obdarzyła ją pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Naprawdę? W tych czasach zarzucasz mi coś takiego?

Z obory dobiegł ryk drażniący podobieństwem do ludzkiego.

– Co się dzieje? – spytała sąsiadka.

– Krowa nie może urodzić. Pewno będzie krojona.

Kobieta wydeła usta i stanowczo odwróciła się od źródła dźwięku. Wskazała dom kilkaset metrów dalej, na bagnie.

– Czyj tamten?

– Niczyj. – Pola nie miała pojęcia, czemu znów nie może się powstrzymać przed mieleniem ozorem. Niemal wbrew sobie dodała: – Ten nikt nie goda z obcymi.

– Dałabyś już spokój. – Kokota pokręciła głową, wprawiając w ruch cień na wyschniętej trawie.

Rozmówczynie skrzywiły się identycznie, obserwując go. Cienie nie były już tym co kiedyś.

– Dom kopidoła – mruknęła po chwili dziewczyna.

– Kopidoła? To po waszemu trupokupiec, tak? – Pola kiwnęła głową. – Taki, jak myślę?

– Nie mogę powiedzieć.

Sąsiadka zwróciła się ku niej i spojrzała chytrze znad okularów.

– Boś nie stąd. A ten dom czyj? Męża?

Dziewczyna posłała jej słodki uśmiech. Nie miała zamiaru się żegnać. Odwróciła się od wścibskiej wycieruchy i ruszyła w kierunku obory.

A wszyscy oni z mojej byli gliny...

A wszystkich ich moje wykarmiły dydy!

Czuła na sobie uważne spojrzenie.



- No i co, Franek?
- Nie urodzi. Dej no brzytwę.
- Gdzie jest młody? Powinien się uczyć.
- Nie pierdol.

Franek wygolił bok ze sztywnej sierści. Wstrzyknął lek. Rozkroił skórę. Rozkroił mięso. Znalazł macicę. Rozerwał gorące śliskie fałdy. Złapał za nogi, pociągnął. Krowa znów odezwała się ludzkim głosem. Chwycił pewniej cielaka. Wsunął rękę pod łeb i złożył ciało na ziemi.

Cała operacja na nic, młode zmarło już jakiś czas temu.

Zaczął zszywać krowę, która wciąż pewnie stała na nogach. Skończył, popatrzył na brata i podrapał się po kilkudniowym zarostcie.

- Nie wiem, ile za cielaka. Zapomniałem. Może Pola pamięta.

- Stawiam na gorzałę.

Nad oborą trzasnął piorun. Wydawało się, że z jasnego nieba. Poczuli nieprzyjemny smak na językach. Właściwie nie mieli pojęcia, czy to piorun. Nigdy go

nie widzieli, po prostu tak to nazywali. Zbliżała się godzina-granica, od której nie patrzyło się już w górę.

Stanęli w drzwiach, by nie ominął ich skąpy deszcz. Półminutowy podarunek brudnych kropel hipnotyzował. Świeży osad pokrył żółtą trawę.

– Mam jeszcze kurę – mruknął uwalany we krwi Franek, zasłaniając oczy dłonią. – Czteropak.

– Ta, wiem – odparł brat w porysowanych goglach pełnych pokręteł i filtrów. – Coś tam już chytam.

Podmuch wiatru poderwał wszechobecne liście, wzbudził odór, wtargnął przez wyrwy w las. Zwaliło się jakieś drzewo, wprawiając grunt w drżenie.

– Całkiem dziś ładnie. Poznałeś się z nową sąsiadką?

– Tomasz, to nie jest śmieszne. – Franek zaczął wycierać rękę w starą szmatę.

– Wiem, wiem. – Tomasz popukał się palcem w skroń. – Wyjechała sobie dom z bali. Teraz. Pod zarżniętym lasem, nad wyschniętym strumykiem. Skąd w ogóle nagrała roboli? No kurwa, byłem pewien, że poza mną i Matim już nikt tu nie zamieszka. – Splunął na ziemię. – Las jej przecież nie przyjmie.

– Co za różnica?

Franek czuł się uważnie obserwowany, choć gogle Tomasza były czarne i nieprzeniknione. Brat raczej nie dowierzał jego pozornemu opanowaniu. Franek od dłuższego czasu miał wrażenie, że coś się zbliża, jak fala na morzu, nadciąga wraz z dręczącymi snami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się dobrze, ale wychodził ze skóry, by podarować domownikom choć namiastkę spokoju. Nowa chałupa za płotem

i jego dziwna, gapiąca się na nich często z werandy mieszkanka nie pomagały.

Tomasz odchrząknął i przetarł szkła.

– Zostało ci coś benzyny? – spytał.

– Ja. Nawet podwórka by tym nie skosił.

Człowiek bez spojrzenia przekrzywił głowę.

– Jak nas będzie wkurwiać, to ją spalimy.

Koniec fragmentu

Zapraszamy na
www.labotiga.pl lub www.sqnstore.pl

SQNSTORE.PL labotiga.pl

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

